

POWIEŚĆ: NOWELA

Rok XIX

Warszawa, dnia 24 Września 1927 roku

Nr. 39

ANDRZEJ STRUG

2) UCZTA ZWYCIĘSTWA

Wszyscy brali udział w przygotowaniach do wielkiego święta. Nawet patrole, podchodzące pod nieprzyjaciela, polowały, hałasując po lasach. W pasie neutralnym urządzano walne obławy, szukając dzika dla ozdoby stołu, żołnierze brodzili po pas w lodowatej wodzie słynnego jeziora Horocz z kategoriycznym rozkazem wyłapania bajecznych szczupaków po półtora arszyna miary, które miały tam być wedle natarczywych zapewnień nadbrzeżnych tubylców, tułtejszych „starożyłów”. Podporucznik Staszewski całymi dniami mordował ośmiu nieszczęsnych trębaczków, ucząc ich tryumfalnych fanfar i biesiadnych tuszów a zwłaszcza Marsyljanki i Madelon dla francuskich gości. Ochotnik Pruszko, niezupełnie znany malarz, dekorował izby biesiadne jedliną i brzezina, rozwieszał festony z farbowanych wiórow, wypalał na tarczach z białych desek podniosłe napisy patriotyczne. Zbijano tratwy na jeziorze, by w kulminacyjnym momencie biesiady zapalić na nich wielkie stosy łuczywa. Ochotnik kapral, początkujący literat Łomiszewski, uwolniony od wszelkich zajęć, układał w pocie czoła wielką mowę dla pułkownika, który przyznawał sam, że on „w polskim jeszcze nie krzepki, a osramić się przed takimi gośćmi też jemu nie ochota”...

Kapral przedstawił już pułkownikowi jeden po drugim dwa swoje utwory, oba przepisane pięknie na kancelaryjnej maszynie. Oba zostały poddane druzgocącej krytyce, na jaką może sobie pozwolić tylko pułkownik wobec swojego kaprala i odrzucone wręcz i w całości.

— Pan mi tu znowu włazisz ze swoją literaturą, gdzie pana nikt nie prosił! Co ja panu kazał? Ja kazał, żeby było po żołniersku, a pan mi znowu miambilisz swoje gorzkie żale o poległych, o cmentarzach.... I co za nachalstwo — to ja, bojowy pułkownik, mam się tego uczyć na pamięć? Pan śmiałeś dopuścić, żeby ja poważny się powiedział w taki dzień publicznie i to w ciasnej żołnierskiej rodzinie przy dowódcy grupy i generałach, że wojna jest klęską ludzkości?! Że cała armja z radością powita zawieszenie broni? Ta to prosto przestępna demoralizacja na korzyść bolszewikom! Wiesz pan, kto w całej armji ucieszył się? Odpowiadaj pan, kiedy ja pytam!

— Nie wiem, melduję posłusznie, panie pułkowniku!

— To ja panu powiem: kapral naszego pułku z tegorocznych ochotników, taki warszawski literator, defetist, z tych samych sławnych ochotników, co to sobie myślą, że oni właśnie zrobili cały cud nad Wisłą, a teraz już stracili ochotę i nagwałt chcą do mamy.... Jak nazwisko?

— Łomiszewski, panie pułkowniku!

— On to i jest. A teraz, marsz! I na godzinę osiemnastą żeby mi było gotowe, rozumiesz pan? Po naszymu, po żołdacku — prosto i jasno. Mocno a krótko. Patriotycznie i morowo. Czy pan rozumiesz, jaki to zaszczyt wyrządzony jest panu od samego komendanta pułku takiemu kapralu? Toż to robota oficerska — to sztabna komenderówka! Rozumiesz pan?

— Rozumiem, panie pułkowniku!

— Otóż to. A wsadzisz mnie pan jeszcze coś takiego przeciw instrukcji, to, czestne moje słowo — ja pana wsadzę do paki tygodni na dwa za nieposłuszeństwo! Bo wojsko jest — rozumiesz pan?!

* * *

W dzisiejszym codziennym pakiecie od dowództwa grupy adjutant pułku, porucznik Braun, wśród mnóstwa papierów znalazł dwie nowiny pierwszej wagi dla pułku. Pułkownik Gacewicz otrzymał Virtuti Militari, a rotmistrz Barwiński, komendant trzeciego szwadronu, ranny pod Krywopolem, umarł w szpitalu Ujazdowskim.

Radość i wielkie zmartwienie....

Albowiem wiedzieli o tem wszyscy, że pułkownika już od paru tygodni toczy rak głęboko zatajonego cierpienia. Jeszcze w całej pełni działań wojennych otrzymał on był czterokrotny Krzyż Walecznych, co samo w sobie było nader pięknym odznaczeniem, ale było ono zarazem kategoriycznym zapewnieniem, że nie dostanie on już nigdy wymarzonego srebrnego krzyżyka na błękitno - czarnej wstążce... Pułk szedł wówczas w rezerwie i pułkownik pił przez trzy dni, rozpowiadając na prawo i na lewo, że pije z uciechy, ale nikogo nie oszukał. Po trzech dniach oszalał i bez rozkazu poderwał cztery szwadrony, zostawiwszy tylko jeden dla osłony taboru i kolumny amunicyjnej, postępującej za pułkiem. Cichaczem, bokami i nocami przemknął się przez linię ofensywy i pewnego dnia o świcie otoczył miasteczko Krzywopole i ze stratą tylko dwudziestu siedmiu ludzi, przeważnie rannych, i trzydziestu koni i to wyłącznie z trzeciego szwadronu, który pierwszy wpadł do miasteczka i właściwie rozstrzygnął o wszystkim, zabrał „sztabarm”, trzy pociągi pancerne, kilkaset wagonów, niezmierne zapasy i do pięciu tysięcy jeńca. Dopiero nazajutrz nadciągnęły przednie strażnice pułku idącego w czole dywizji. Dowództwo armji musiało zmienić cały plan operacyjny, gdyż przed frontem rozwarła się ogromna próżnia, którą, jak meldował zwycięski

pułkownik, można iść naprzód bez żadnej przeszkody bodaj do samego Mińska.

Uszło mu to na sucho, gdyż w sztabie dowództwa armji miał dobrych kolegów z dawnej służby, a pedanci austriacy, których tam również nie brakowało, zbyt byli zgorszeni tym niebywałym skandalem, wołającym o sąd polowy, by nie skłonić i dowodzącego generała, i jego szefa sztabu do przeniesienia całego zwycięstwa na rachunek własny. A w takim razie wykonawca wspaniałego manewru wypadowego, w którym wykazał zresztą osobiście warjacką brawurę, jeżeli już nie został ukarany, musiał być odpowiednio nagrodzony. Nie inaczej zapewne rozumował sam bohater - winowajca, zamierzając w pijanej głowie swój szalony czyn.

Porucznik Braun powinien był zerwać się i biec do pułkownika z wielką nowiną, ale ta zupełnie nieoczekiwana śmierć rotmistrza Barwińskiego przygwoździła go do stołu. Rotmistrz był wprawdzie pięciokrotnie postrzelony (karabin maszynowy) ale zdumiewająco szczęśliwie i nic nie zapowiadało...

Był on chwałą pułku, i dumą, i jego ukochaniem. Reszta oficerów były to dobre chłopcy, zwyczajni mowowcy. On stał pośród nich na jakiejś swojej wyżynie, jakby osamotniony a zarazem uroczo koleżeński. Wszyscy z nim byli na ty, ale żaden się z nim nie mógł spoufalić, chociaż wraz z resztą i nie gorzej od innych pił, kłął i sadył konceptami. Był koniarzem, rznął w karty i zawsze przegrywał, lubował się w brawurze kawaleryjskiej... Nie nosił się ze sobą, niczego nigdy nie żądał, był niby taki sam, a jednak wszyscy ubiegali się o jego przyjaźń, zazdrościli go sobie nawzajem i każdy czegoś się tam przed nim wstydził. W istocie on to dowodził pułkiem, gdyż komendant radził się go zawsze w cięższych chwilach boju i w każdym innym kłopotcie, czyniąc to cichaczem ale stale i zawsze rada była dobra i jedyna. Nie poradził się go — po raz pierwszy i ostatni — dopiero co do samowolnej wyprawy na bolszewickie tyły, gdyż zgóry wiedział, że rotmistrz do tego nie dopuści, poprostu nie pozwoli mu na podobne szaleństwo, a gdy on by powiedział, że nie, to stałoby się wedle jego woli. I pułkownik go poprostu okłamał, jak i resztę oficerów, zastępując się tajnym rozkazem.

Porucznik Braun miał dopiero dwadzieścia cztery lata i wysiłał się, żeby się nie rozpłakać. Łzy najszersze, dziecięce, dławiliły w gardle, ale naprzeciwko za tym samym stołem siedział wachmistrz sztabowy, klekoczący na maszynie, a nad nim sterczał podstarzały porucznik Chomętowicz, weterynarz pułkowy i dyktował mu raport o opłakanym stanie apteki końskiej i kuźni polowej. Wachmistrz rzucił już nań z pod oka parę ukradkowych spojrzeń i oczywiście umierał z ciekawości, widząc, co się z nim dzieje.

— ...Uniemożliwia absolutny brak jodiny?

— Absolutny brak jodiny, na który uskarżałem się od dwóch miesięcy....

— Czy nie lepiej będzie — zwracałem uwagę — panie poruczniku?

— Pisz pan, jak każe! Napiszesz pan jeszcze ostrzej, tłucz pan dalej: — jodiny, na którą... na którą uskarżałem się i naciskałem nastojczywie od dwóch miesięcy...

— To zupełnie nie będzie po polsku, panie poruczniku... Chyba ma być — najkategoryczniej?...

— Nie pan mnie będziesz uczył! Najkategoryczniej — to może po polsku?

— A naciskałem? Rusycyzm....

Adjutant zerwał się na równe nogi.

— Twardowski! Jak wy śmiecie zwracać uwagę panu porucznikowi?! Twardowski! Baczość!!

Wachmistrz wyprostował się, weterynarz już się przestraszył i patrzył błagalnie na swego obrońcę. Adjutant wyczytał wyraźnie w oczach wachmistrza:

— I cóż ja temu winien, że pan porucznik dostał w dzisiejszym pakiecie coś zanadto twardego?

Zgarnął papiery ze stołu i wyszedł. Tuż obok przy płocie były ordynans rotmistrza Barwińskiego czyścił konia, który tu został przy dwóch plutonach trzeciego szwadronu, przydzielonych do komendy pułku. Kasztan z gwiazdką na czole nosił jeszcze na szyi i na udzie opatrunki po lekkich draśnięciach od kul. Tulił uszy i udawał, że chce dosięgnąć zębami ordynansa, drapiącego go zgrzeblem. Adjutant natychmiast odwrócił się od tego. Jezioro lunęło mu w oczy blaskiem. Zamgliło się przed nim wszystko. Zasłonił sobie dłonią mokre oczy i tak stał. Nagle łzy naparły nie do powstrzymania i adjutant zaniósł się od płaczu.

— Co ci jest? Co się stało?

Podporucznik Łada oderwał mu rękę od twarzy. Zachnął się i szarpał się, ale wnet się poddał. Jak dziecko potrzebował w tej chwili przygarnąć się do kogoś bliskiego. Objął za szyję przyjaciela i wyszeptał, wstrząsany łkaniem:

— Bo Antek... przed tygodniem... Umarł... W Ujazdowskim szpitalu. Umarł... I za to... za to... Puzo dostał nareszcie swoje Virtuti...

Podporucznik Łada zaklął szpetnie i urwał. Spojrzał w kierunku baraków i krzyknął:

— Brysiak!!

— Jest! Panie podporuczniku!

— Na alarm! Na łeb, na szyję! Siodłać dla mnie i dla porucznika! Już!

Pojechali stępą wzdłuż jeziora. Nic do siebie nie mówili, bo i co było gadać.... Ciężka, ponura wieść wytrąciła obu z ich radości życia, z ich młodej płochości w duszach i z tego jasnego dnia. Szron z nocy trzymał się uporczywie w każdym cieniu, ustępując dopiero przed słońcem. Na pobrzeżu wody lśniły się jeszcze cieniuseńkie krusze tafelki lodu. Powietrze było jędrne, a mimo pełnego słońca kłęby pary buchały z nozdrzy końskich. Oba konie były zdobyczne, zabrane świeżo w Krywopolu. Wypoczęte i odpasione rwały się w cuglach, w podskokach i lansasach, szurając liśćmi na drodze.

— Jak te moskiewskie konie wcześniej obrastają sierścią... Nasze dopiero zaczynają, a te już się puszą niczem niedźwiedzie...

— Nie! Nie! — odpowiedział adjutant głosem zawziętym — śmierć jest okropna, ona dopiero jest najgorsza! O tem ludzie nie mają najmniejszego pojęcia, dopiero gdy.... Dopiero kiedy....

Pochylił się w siodle i doniec pomknął w kłus, zarywając z galopa. Za nim ruszył podporucznik na swoim kozaku inochodźcu.

(D. c. n.)

ŚLEPOTA WŁADCÓW

— Z tobą, mój mały, — odparł Rasputin — czas się nie dłuży.

I wrócił do lustra, ażeby przyjrzeć się z zadowoleniem swojemu odbiciu.

— Niecierpliwi się napewno — ciągnął — pragnęłaby zobaczyć mnie jaknajprędzej. Biedactwo, przeklina gości. Widzisz, nocne godziny są lepsze i miłsze dla ciała.

Przeciągnął się, rad, że może pod suchą skórą naprężyć twarde i niezawodne mięśnie, czuć obieg krwi, która wydawała mu się czerwienią i gorętszą, niż u innych ludzi. Dumny ze swojej siły, uniósł głowę.

— Czy ona wie, kim jestem i że wszystko mogę? — zapytał. — Powiedziałaś jej? Jak uzdrawiam, jak odgaduję i o mamie i o reszcie?

Wbił w Jussupowa połyskliwe spojrzenie, a następnie, jakgdyby szczedząc mocy zbędnej w tej chwili, opuścił powieki.

Księżę panował nad swoimi odruchami i był umocniony w swoim zamiarze, a jednak zadrżał. Zdawało mu się, że lada moment Rasputin zrozumie wszystko.

Dlaczego, w rzeczy samej, stary, który nie umiał patrzeć spokojnie na butelkę, tym razem nie chciał pić? Co oznaczały te nagłe przejścia od radości do przygnębienia? A wreszcie skąd to skupienie, które robiło wrażenie przygotowań do ostatecznej walki.

Marsz *Yankee Doodle* brzęczał bezustannie, naprzykrzając się hałaśliwą melodią.

Muzyka działała obu mężczyznom na nerwy, budząc w nich jednakowy niepokój. Rasputin pragnął uwolnić się od tego uczucia, a znał na nie tylko jedno lekarstwo: wino. Jednak zawahał się: z głębin jego ducha powstawał sprzeciw.

Prowadził w dalszym ciągu rozmowę, lecz bardziej gorączkowo i ponuro. Mijały minuty. I chociaż się oszalał słowami, zmuszał do wyobrażenia obiecanych radości — narzucający się i powtarzający rytm muzyki pogłębiał z chwili na chwilę jego trwogę. Wreszcie nie mógł jej opanować.

— Przepijmy do siebie — rzekł.

Mocne ręce księcia, tak nie dopasowane do wątych ramion, drżały z lekka podczas odkorkowywania butelek, lecz były spokojne, gdy napełniły kieliszek, w którym spoczywał na dnie — niewidoczny i śmiertelny — cjanek.

— Trąćmy się, mój mały — rzekł stary. — Niechaj błogosławieństwo będzie nad nami!

Zadrzało szkło i Rasputin jednym tchem wychylił napój.

— Może ciastko, Grigori Effimiczu? — podsunął spokojnie księżę.

Odruchowo stary zjadł ciastko z zatrutym kremem. Jussupow nalał maderę do drugiego kieliszka z trucizną, który Rasputin znowu opróżnił.

Upłynęło kilka chwil, podczas których obydwaj milczeli. Księżę czekał spokojnie na piorunujące działanie cjanu. Ale w miarę, jak mijał czas, powstawało w nim niedowierzanie, połączone z trwogą. Rasputin przełknął ilość więcej niż wystarczającą do natychmiastowego uśmiercenia, a jednak był tu, niewzruszony, z niezmaconym spojrzeniem. A w głębi zrenic błysk, który zdawał się wszystko odgadawać...

— Mocne jest to twoje wino — mruknął wreszcie stary.

Zatrząsał się cały od strasznej czkawki. W Jussupowa wstąpiła nadzieja, lecz tylko na chwilę. Cieniutka struga śliny spłynęła wzdłuż szych warg, i to było wszystko.

Nagle Rasputin podszedł do księcia. Zniknęła z jego twarzy wszelka przyjaźń, a rysy były nacechowane gniewem i zniecierpliwieniem.

— Kpisz sobie ze mnie? — zawołał. — Jestem tu przeszło godzinę, a hrabina nie schodzi wcale. Przez całą noc grać będą tę przeklętą melodię, a ja będę musiał czekać!

Zanucił ze złością kilka taktów marsza *Yanku Doodle*, który w dalszym ciągu rozbrzmiewał mechaniczną wesołością.

— Dosyć tej zabawy, — ciągnął. — Pójdę sobie, jeżeli nie zjawi się tu zaraz.

— Za trzy minuty, najdalej, — szepnął Jussupow. Idę po nią na górę.

A na górze, w gabinecie księcia, czterej spiskowcy usłyszeli niewiarogodną nowinę.

Przeklęty zwalczył truciznę!

Rasputin nie słyszał tych szeptów, lecz dusza jego nie była już w spokoju. Stał po niedźwiedziej skórze ociężałymi krokami, dziwny szum walił w skronie. Nozdrza drżały, paliło go w gardle, więc od czasu do czasu podnosił ręce do kołnierza u bluzy.

— A więc? — krzyknął do powracającego Jussupowa.

— Zaraz Grigori Effimiczu. Zaraz.

Zbyt silne rozgorączkowanie malowało się na twarzy Jussupowa, albo też anteny Rasputina, oswojone wreszcie z odrętwieniem, wracały do swojej władzy. Stary mówił groźnie:

— Wszystko to jest podejrzane. Twój dom pachnie zasadzką.

Sledził odgłosy domowe, w nadziei, że usłyszy kobiece kroki na schodach. Odpowiedziała mu jedynie piosenka fonografu.

— Dosyć tej muzyki! — wrzasnął Rasputin. — Jest gorsza od dzwonów pogrzebowych. Dość.

Jussupow wyszedł po raz trzeci.

Rasputin nie mógł wiedzieć, że tuż nad jego głową rozstrzygano o jego losie, że między spiskowcami powstał spór, czy puścić go i że niektórzy nie godzili się na to. Lecz jego trwoga stawała się nie do zniesienia. We wszystkich kątach piwnicy czaiła się zdrada. Było to miejsce najodpowiedniejsze dla rozpusty, ale też i dla zasadzki.

Stary zwrócił twarz do krzyża, który bielił się w mroku.

I wtedy, jak w te dni niepojętych zwycięstw nad myślą i materją, mistyczna moc wsączyła się w jego żyły. Poczł się większym, silniejszym od ludzi, poczul nad sobą opiekę. Zrozumiał, że należy odejść.

W tej chwili ukazała się na progu wdzięczna postać księcia. Jedną rękę chował za plecami. Twarz wyrażała tak nieskazitelną pogodę, że instynkt Rasputina rozwiął się podczas tej ostatecznej próby. Jak można nie przywiązywać wiary do ust tak pięknych, głosu tak serdecznego.

— Usiądźcie Grzegorzowi Effimiczowi, — rzekł głos. — Hrabina idzie za mną.

Starec nie myślał już o młodej kobiecie. A jednak odparł:

— Więc zostaję.

Cofnął się trochę i zobaczył, że Jussupow zbliża się do niego. Po nagłym napięciu tego ciała starec zrozumiał wszystko. Ale nie było już czasu. Piers zdawała się być rozłupana żelaznym prętem. Odgłos strzału przerwał rytm fonografu. Usta Rasputina wydały okrzyk przeciągły i niski, a bezwłocznie poczuł na swoich policzkach i skroniach grube futro, które dotychczas łagodziło tylko odgłos jego kroków.

Dostyszał hałas... na schodach... w pokoju... przyspieszone oddechy... nienawistne okrzyki...

Światło zgasło, sprawiło to ulgę powiekom, a następnie blask ugodził w nie na nowo. Podniósł prawą rękę do oczu i przesłonił je. Drugą rękę trzymał rozciągniętą na łonie, jakgdyby pragnął zatrzymać nią życie. Piers wznosiła się wysoko. Dreszcze wstrząsały ramionami.

Przypomniał sobie, jak go kobieta przeszła nożem i że to pchnięcie nie pokonało go. Czuł, że kula księcia ugodziła go mocniej, lecz rozpostarty powtarzał sobie w duchu:

— Nie umrę, wcale nie umrę.

Od ludzi zgromadzonych dokoła niego ziała pogarda i bezgraniczna nienawiść. Rasputin przejmował to, jak strzały, przeciwstawiając się swoją nieokiełznaną wolą życia i zwycięstwa. Wiedział, że na tem właśnie polegała rzecz najgłówniejsza, bo póki trwał niepokonany instynkt ciała oraz pragnienie duszy, rany małe miały znaczenie.

Doprawdy było coś bardzo miłego, bardzo zagadkowego i bardzo ujmującego w osłabieniu, które go chwilami zmagало, coś, co posiadało miękkość i ciepło skór, na których leżał.

Lecz wtem zaczęły go ciągnąć brutalne ręce, zmuszając go do opuszczenia zbyt lubieżnego postania.

Jakiś głos odezwał się.

— Niczego nie zabrudził. Niema krwi. Zapewne wewnętrzny krwotok.

Starec znalazł się na lodowatym granicie. Chłód działał jak dobroczynna woda, piły go wszystkie pory przez lekki jedwab bluzy. Długo przypatrywali mu się wrogowie. W końcu usłyszał głos księcia Jussupowa:

— A więc panowie chodźmy na górę. Trzeba dokończyć.

I Rasputin pozostał w piwnicy sam. Był to trup, czy też żył intensywniej, niż kiedykolwiek? Nikt na świecie nie mógłby dać na to odpowiedzi, ani nawet on sam.

Panowała bezwzględna cisza. Nie przerywały jej żadne hałasy, nie było już *Yankee Doodle*. Powietrze wilgotne, nieruchome. Nic nie bolało Rasputina. Oddech stawał się na sinych ustach coraz mniej wyraźny.

Prawą rękę trzymał wciąż przyciśniętą do powiek. Nie słyszał, nie widział i nie czuł. Myśli ustały. Nawet odruchy były zawieszony. Ciało stanowiło bryłę bezwładną, ale pozbawioną wagi. Ponad tem ciałem unosiło się tchnienie przybyte z obszarów bez kresu, niebios bez dna, z ziemi i błyskawic, tchnienie, które nie chciało się rozproszyć i które było jeszcze nim.

Nie posiadał już świadomości. Był jak drzewo, uderzone siekierą, które jednak przepelniają soki i podtrzymuje zawsze dziki pień.

Z czołem na granicie, ręką zaciśniętą na boku,

z którego nie wypłynęła ani jedna kropla krwi, starec spał.

I gdyby nie trzasnęły drzwi prowadzące do piwnicy, ten sen byłby może ostatnim snem Rasputina. I nie hałas obudził Rasputina, lecz obecność, która mu była droższą od wszystkich innych. Jedyna osoba mogąca go rozbroić weszła do śmiertelnej sali.

I Rasputin odżył.

Siła duchowa, jaka ugodziła w niego, sięgała aż za śmierć. Jussupow mógł go zranić, ale nie mógł go zabić. Zbyt wiele więzów i to nie ziemskich skubało Rasputina z Jussupowem.

Wszystko to odczuł starec w ułamku czasu nie dającym się wymierzyć umysłem. To właśnie wróciło mu świadomość, że żyje. Piers jego, przed chwilą jeszcze niewrażliwa, wezbrała siłą. Serce uderzyło rytmem mocnym, bogatym. Podczas, gdy księżę pochyliwszy się nad nim spoglądał na swojego trupa, Rasputin jednym ruchem podniósł się.

Oczy wyolbrzymiały, bo widziały królestwo bez nazwy, barwy i kształtu, płonęły, jak pogrzebowe pochodnie. Przywarły do oczu księcia i zdawało się, że nigdy się od nich nie oderwą. Jussupow nie drżał, zastygły w nim wszelkie ziemskie uczucia. Lecz gdyby ta milcząca konfrontacja trwała jeszcze przez chwilę, runąłby rażony śmiertelnie przez widmo.

Z twarzy bladej i martwej, z piersi przedziurawionej trysnęła skarga. Brzmiała rozdzierającym wyrzutem, nieskończoną grozą, rozpaczliwym gniewem, raną nie do zagojenia:

— Feliks! Feliks! Feliks!

Dźwięk tego imienia, powtózonego trzy razy, dźwięk ochrypty, zboleły obijał się o granitowe sklepienie, włócił się po piwnicy, pełnej grobowego milczenia. Z krzykiem bardziej oszalałym, niż ten, jaki wydał Rasputin po otrzymaniu pchnięcia, Jussupow rzucił się ku schodom.

Starec nie zawahał się. Wróciła mu całkowita przytomność umysłu. Ani trucizna, ani kula nie poderwały jego sił żywotnych. Pewnym krokiem przeszedł przez próg podziemi, wspiał się po stopniach i stanął na małym podwórku. Usłyszał głos księcia, przepojony trwożą:

— Puryszkiewicz! Strzelać, strzelać! On żyje! Ucieka!

Wtedy dopiero Rasputin zapalał nienawiścią dla Jussupowa i zapragnął zemsty:

— Feliksie! — zawołał — Feliksie! powiem to cesarzowej.

Zaczął biec, po miękkim śniegu, w stronę bramy. Za bramą była ulica, policja, cała maszynierja, która go ochraniała, zbawienie.

Rzucając spojrzenie na próg opuszczony przez siebie, ujrzał nerwową postać, brodatą twarz. Mężczyzna wyciągnął ku niemu przedmiot, który błyszczał pośród nocnych ogni.

„Chybi! chybi!” pomyślał Rasputin ze swoją nadmierną wolą.

Wystrzał. Starec biegł szybciej. Drugi wystrzał bez wyniku. Starec dotykał drzwi. Ryknął zwycięsko, ale zapomniał pomyśleć.

W tej chwili brodaty mężczyzna ugryzł się w rękę, jakgdyby pragnąc uwolnić się od uroku, i jeszcze raz strzelił. Pałaca klinga wbiła się między ramiona Rasputina. I jeszcze nie upadł. Ostatnim rozpędem miały go zanieść nogi poza pałac, gdy wtem potworne uderzenie rozłupało głowę. Zachwiał się kilkakrotnie z lewej strony na prawą, poczem opadł na kolana, uderzając czołem o ziemię.

(Dok. nast.).